

# Sherlock Holmes w Warszawie





LEO BELMONT

## Sherlock Holmes w Warszawie

HUMORESKA LEO BELMONTA

Otworzywszy drzwi, cofnąłem się od progu niezmiernie zdziwiony:

— Ty tu... w Warszawie?!

— Zaraz przestaniesz się dziwić — mówił z uśmiechem mój i Watsona<sup>1</sup> londyński przyjaciel, zdejmując podróżną torebkę i płaszcz. — Opowiem ci wszystko przy kolacji. Przeszkodziłem ci... w spożywaniu jajecznicy... wszak prawda?

Jakkolwiek do domyślności Sherlocka przyzwyczailem się już od dawna, przyznając, że uderzyła mnie ona nie mniej niż zawsze. Pytającymi oczyma spoglądałem na niego, przeprowadzając go przez gabinet do jadalnego pokoju, gdzie na stole przede mną stał rzeczywiście talerz z napoczętą przed chwilą jajecznicą.

On, przechodząc przez gabinet, rzucił na wszystkie strony zwykle swoje bystre wejście, takim samym spojrzeniem ogarnął teraz pokój jadalny i już siedział naprzeciw mnie, przymykając wedle zwyczaju oczy, a uśmiechając się nieco, mówił:

— Opowiem ci wszystko. Mam nadzieję, że jesteś wolny... Nie czekasz chyba na nikogo prócz służącej i stróża, który ma przyjść po podatek za twego dużego, szarego psa... A ten jegomość semickiego pochodzenia, który przed dziesięciu minutami toczył z tobą taką wałną dysputę w kwestii syjonizmu<sup>2</sup>, zapewne nieprędko powróci... w każdym razie dziś nie złoży ci wizyty i przeszkadzać nam nie będzie.

Rozwierałem oczy coraz szerzej. Był u mnie po raz pierwszy. Skąd wiedział, że mam szarego psa... że ma przyjść stróż... w jakim celu... kto był... i o czym mówił?!...

— Mógłbym uchodzić za cudownego człowieka — mówił Holmes, składając końce palców obu rąk według przyzwyczajenia. — Ale i tym razem rozbiję tę świetną opinię o siebie, a przekonasz się jak zawsze, że odrobina spostrzegawczości i umiejętność wyprowadzania wniosków logicznych z przesłanek starczą do rezultatów, które wydają się czymś genialnym... nadziemskim... ludziom niezadającym sobie trudu patrzeć dobrze, a myśleć.

I metodycznie, ze zwykłą skromnością, dowiódł mi, jak prostą i naturalną była jego pozornie cudowna zdolność odgadywania:

— Kiedyś<sup>3</sup> otworzył mi drzwi, na twoich ineksprymablach<sup>4</sup> znacznie powyżej kolan dostrzegłem siwe włoski, które wskazały, że pies składał ci mordę na kolanach. Przechodząc przez gabinet, dojrzałem na kanapie w rogu znaczne wgłębienie, którego nie mogła wygnieść ludzka istota, bo nie znajdowałoby się ono w takim oddaleniu od końca kanapy i tak bardzo w kącie przy oparciu, i przy tym nie byłoby pokryte tymi samymi siwymi włoskami, które leżały na twych ineksprymablach. Leżał tam skulony pies, z rozmiaru wgłębienia sądząc, duży. Na biurku w gabinecie dojrzałem małą kartkę drukowaną, z kilku wpisanymi słowami, a obok niej przygotowane trzy ruble<sup>5</sup>. Domyśliłem się, że to

<sup>1</sup>Watson, John — postać literacka z cyklu powieści i opowiadań Arthura Conana Doyle'a: współlokator, przyjaciel i współpracownik Sherlocka Holmesa, kronikarz jego sukcesów. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>syjonizm — żydowski ruch polityczny i społeczny powstały pod koniec XIX w., dążący do stworzenia własnego żydowskiego państwa na terenach starożytnego Izraela. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Kiedyś otworzył mi drzwi — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: Kiedy otworzyłeś mi drzwi. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>ineksprymable (przestarz., z fr. *inexprimable*: niewyraźalny) — spodnie. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>rubel — waluta rosyjska; akcja opowiadania toczy się kilka lat przed pierwszą wojną światową, kiedy Warszawa była miastem carskiej Rosji. [przypis edytorski]

kartka z cyrkułu<sup>6</sup>, wzywająca o zapłacenie podatku za psa. Ponieważ wiem, że dziś ostatni termin, wykombinowałem, żeś posłał służącego po stróża, przygotowałeś pieniądze. Dlatego sam mi otworzyłeś. Służąca zaś zeszła po stróża, a przy tej okazji wyprowadziła psa, aby przewietrzył się... Otwarte drzwi od kuchni, które dostrzegłem przez korytarz, gdyś mi od frontu otworzył, upewniły mnie, że służąca wyszła tylko na chwilę... oczywiście po kogoś, co jest blisko, w podwórzu, więc po stróża...

W istocie wszystko było tak, jak mówił. Ale druga rzecz nie przedstawiała być cudowną: odgadnięcie charakteru wizyty poprzedniej.

— I tu nie chcę na geniusza pozować — mówił Holmes. — Nie sądzę, żem spotkał kogoś na schodach. Powiedziałem ci wyraźnie: twój gość odszedł przed dziesięciu minutami. Nie później, bo byłbym go spotkał, wchodząc na górę do ciebie. Nie wcześniej, bo brał udział w twojej wieczerzy i na wewnętrznej stronie szklanki, która stoi wprost ciebie, para od herbaty nie ostygła jeszcze.

— Lecz skąd wiesz, o czym mówiliśmy?!

— Po tej stronie obrusa, gdzie siedział twój gość, ułożony jest z pestek od wiśni herb Dawida<sup>7</sup>: dwa przecinające się, wzajem odwrócone trójkąty. Rozmowa dotyczyła kwestii syjonistycznej, była gorączkowa, widać to z niewygasłych rumieńców na twojej twarzy... Twój gość ilustrował rozmowę, pokazując ci herb Dawidowy...

— Lecz skąd wiesz, że to był Semita<sup>8</sup>?... Mógł przecie rozmawiać ze mną Aryjczyk<sup>9</sup>...

— Widzę na twoim surducie zwieszający się na nitce guzik. Gdyby nitka oderwała się dawniej, guzik twój już odleciałby... Nie utrzymałby się. Z wążności nitki i utrzymania się na niej guzika wnoszę, że guzik półoderwano ci dopiero przed chwilą. W tym miejscu zatem ujął cię twój oponent... To nie mógł być Aryjczyk...

— A skąd wiesz, że prędko nie wróci?...

— Widzę, że irytował się podczas rozmowy. Serweta jego zmięta i rzucona na podłogę. W maselnicy po jego stronie masło nosi ostre rysy zbyt energicznie wpychanego noża. Bułka rozerwana jest nader nierówno i nietknięta... Herbata niedopita. W trzech miejscach wiśnie pozostawiły plamy na obrusie, jak gdyby ktoś je pięścią w gniewie rozgniótł...

Nie byłem zdziwiony teraz, że odgadł. Ale zrozumiałem, jak łatwo wyciągnął wnioski ze szczegółów, których my zazwyczaj nie widzimy, a których wymowa była tak jaskrawą, że nie omyliłaby nikogo, co umiałby podobnie patrzeć i rozumowałby tylko logicznie!

— A skąd zgadłeś, że jadłem... jajecznicę?

Uśmiechnął się:

— O, to proste... Gdyś otworzył mi, ujrzałem żółtą kroplę, która kapnęła ci z wąsów i z brody...

— Ale mogłem przecie jeść jajka na miękko.

— Nigdy!... Byłoby choć nieco białka na brodzie...

Po przerwie wywołanej przybyciem stróża, służącej i psa, gdym załatwił kwestię podatku, a pies leżał u nóg w gabinecie, zadałem zapytanie Holmesowi, co go właściwie sprowadza do Warszawy.

— Sprawa... Jaka, nie wiem... Zdaje się, coś ważnego... i... bardzo delikatnego... Oto depesza, którą zostałem wezwany.

Pokazał depeszę. Brzmiała: „Potrzebny mi Pan dla rozwiązania głębokiej tajemnicy, od której zależy moje małżeńskie szczęście. Honorarium 500 funtów. Klotylda Kłopotowska”.

— Odelegrafowałem, że jadę. Dałem twój adres. Nie masz mi za złe?

<sup>6</sup>*cyrkuł* (daw.) — okręg; mała jednostka administracyjna w zaborze rosyjskim, odpowiednik dzisiejszej dzielnicy lub gminy. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*herb Dawida* — dziś zwykle: gwiazda Dawida, jeden z symboli żydowskich, mający kształt heksagramu, regularnej gwiazdy sześcioramiennej, postrzeganej jako złożenie dwóch nachodzących na siebie trójkątów równobocznych: jednego skierowanego ku górze, drugiego do dołu; obecnie oficjalny symbol państwa Izrael. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*Semici* — grupa ludów mówiących jęz. semickimi, zamieszkująca od starożytności Bliski Wschód (Mezopotamię, Syrię, Palestynę, Płw. Arabski), współcz. gł. Arabowie i Żydzi; termin wprowadzony w XVIII w., daw. używany w znaczeniu etnicznym i rasowym, ob. niestosowany w nauce poza użyciem nieformalnym w odniesieniu do grupy ludów staroż.; pot. często: Żydzi. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*Aryjczycy* — nazwa ludów mówiących jęz. aryjskimi, czyli indoirañskimi; w XIX w. synonim wszystkich Indoeuropejczyków, w teorii rasowej używany jako nazwa najwyższej, najszlachetniejszej z ras, przeciwstawianej rasie semickiej (Żydom). [przypis edytorski]

— Ach, mój drogi!... Jakkolwiek sam bawię tu dopiero od miesiąca... i mieszkanie moje nie bardzo jest w porządku... nieco zbyt po kawalersku... lecz...

— Więc za chwilę zobaczymy tu panią Klotyldę... Nie wiesz, kto to taki?...

— Znałem cztery Klocie w Warszawie, lecz jedna jest rozwódką, a trzy są... pannami nie do wzięcia. Sądzę, że to nie żadna z tych czterech...

— Poznamy ją niebawem, bo zdaje mi się, słyszę już jej kroki na schodach. O, dzwonią!

Służąca wniosła pięknie litografowaną<sup>10</sup> kartę. Wyczytaliśmy na niej: „Klotylda Kłopotowska *née*<sup>11</sup> Grzmotnicka”.

— Prosić!

Weszła młoda, ładna blondynka. Podeszła szybko do Sherlocka i gorąco ścisnęła mu rękę:

— Znam pana z fotografii. Jakżem szczęśliwa, żeś pan przyjechał... Tajemnica moja... Tu zatrzymała się, spoglądając na mnie.

Sherlock rzekł:

— O, przy panu Belmoncie może pani śmiało mówić! To jest mój warunek, aby wszyscy klienci mówili o swoich tajemnicach wobec pana Watsona albo pana Belmonta.

Blondynka rzuciła mi czarujący uśmiech, który oznaczał: ufam panu. Siadła, a odsapnąwszy nieco, szybko mówić poczęła:

— Jestem wysoce nieszczęśliwa. Wysłałam za mąż z miłości. Mój mąż na pozór kocha mnie bardzo. Ale w życiu tego człowieka jest jakaś straszliwa tajemnica. Musi mieć na sumieniu jakąś zbrodnię. Od czasu do czasu ogarnia go lęk... niepokój... Nie może usiedzieć wtedy na miejscu... Zrywa się... z jednego miasta ucieka do innego... Obawia się, abym się czegoś nie dowiedziała... Pilnuje mnie... podejrzewa... Słowem, nic z tego nie rozumiem.

— Fakty... fakty... — wycedził zimno Holmes, przymykając oczy.

— Jakie fakty?

— Kiedy pani wyszła za mąż?

— Blisko dwa miesiące temu.

— Gdzie?

— W Krakowie.

— Za zgodą ojca?

— Nie mam go...

— Za zgodą matki?

— Tak... chociaż matka bardzo płakała, rozstając się ze mną. Gdyśmy wyjeżdżali, powiedziała mi na osobności: „Dziecko moje, gdyby ci źle było... gdybyś omyliła się co do jego charakteru, pamiętaj, że masz matkę... Napisz... zaraz przyjadę”. Lękała się o mnie bardzo...

— Mąż pani dawał powód do tych obaw?...

— Jako narzeczony — nie. Był bardzo łagodny. Po ślubie, na drugi dzień... przeraził mnie i mamę dziwną gwałtownością... Rzucił szklankę o ziemię i rozbił ją... Poblądł... trząśnięty z gniewu... Potem mocno przeproszał...

— W jakich to było okolicznościach?

— Bez żadnego powodu. Mama, która zna zagranicę gruntownie, układała nam właśnie plan podróży poślubnej. Mój mąż miał iść po bilety dla nas i wtem... po prostu wpadł w pasję... Pamiętam, mama opowiadała o jakimś obrazie w pałacu Pitti<sup>12</sup>, który wszyscy oglądają, i obiecała nam go pokazać, podobno *curiosum*<sup>13</sup>... Mama zna wszystkie galerie... Obiecała nam ciceronować<sup>14</sup>... Rzuciłam się mamie w objęcia... Ludwiczek

<sup>10</sup>litografowany — wykonany z użyciem litografii, techniki graficznej polegającej na wykonaniu odbitki rysunku sporządzonego na kamiennej matrycy z łupku wapiennego. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*née* (fr.) — urodzona; tu: z domu (wyraz stawiany przed nazwiskiem panieńskim mężatki). [przypis edytorski]

<sup>12</sup>pałac Pitti a. Pittich — renesansowy pałac we Florencji, z wielką galerią malarstwa renesansowego. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*curiosum* (łac.) — osobliwość, ciekawostka; osoba, rzecz albo zjawisko budzące zdumienie swoją niezwykłością. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*ciceronować* (daw.; z wł. żart. *cicerone*: przewodnik) — służyć jako przewodnik oprowadzający turystów, zwłaszcza po zabytkach i muzeach. [przypis edytorski]

ucalał mamie ręce... Był ogromnie wesół i rad, że wyjeżdżamy... I naraz, kiedy już szedł po bilety, chwycił tę szklankę ze stołu i buch! na ziemię. Nie widziałam go jeszcze takim...

— I cóż... przeprosiwszy, poszedł po bilety?

— Nie!... Przeprosił... ale uparł się... Powiada nagle: „Nie cierpię Włoch, nie cierpię Szwajcarii, nie cierpię podróży... Jedziemy do Warszawy!” Zdziwiłam się, bo nigdy nie mówił, że podróży nie lubi... Przeciwnie, cieszył się, że zobaczy Włochy i Szwajcarię... I naraz taka zmiana usposobienia. To było po raz pierwszy... Potem podobne ataki zdarzały mu się nieraz...

— Kiedy po raz pierwszy?

— Po przyjeździe do domu.

Sherlock zapalił papierosa.

— Państwo mieszkacie stale w Warszawie?

— Tak jest... Po przyjeździe do domu pierwszy atak we trzy tygodnie. Skrzyczał strasznie służącą...

— Powód?

— Zawieruszył się list mamy.

— Cóż go tak rozgniewało?

— Właśnie... zuchwałstwo służącej... Przychodzę... Szwajcar<sup>15</sup> mówił mi: „Listonosz przynosił list do pani...” — „Gdzie list?...” — „Na górze...” Pędzę po schodach... Myślę: „List od kochanej mamy, może obiecuje przyjechać...” Pytam męża... powiada: „A, tak... list był... położyłem na stole w jadalnym...” Szukam w jadalnym... nie ma... Nie ma nigdzie... Mój mąż dzwoni na Wikcię. „Gdzie położyłaś list dla pani?” Dziewczyna na to: „Jaki list? Żadnego listu pan mi nie dawał”. Mój mąż: „Jeżeliś zgubiła, to przynajmniej nie kłam”. Moja Wikcia zaperzyła się: „Ja nie kłamię... Pan sam zgubił... Pan mi nie dawał”. I nuż zaklinać się na wszystkie świętości. To zapieranie się w żywe oczy wyprowadziło męża mojego z równowagi. Począł nogami tupać, krzyżeć: „List musi się znaleźć!” Wikcia moja też harda. Więc krzyżeć: „Przechodziłam kiele<sup>16</sup> pana, to pan list jakiś czytał, ale nic mi nie dawał!” „Kłamiesz!...” Zrobiła się awantura. Chciałam Wikcię odprawić. Ale już pasja mojego męża przeszła, bo w gruncie rzeczy jest ogromnie dobry, i powiedział mi: „Dziewczyna głupia, ale nie zła. Kłamię, bo nie pamięta. Daj jej rubla ode mnie i niech już zostanie...”

— A list?

— List nie znalazł się. Tylko wieczorem, gdyśmy się kładli spać, powiada mąż do mnie: „Kłoteczko, wiesz co? Pojedziemy do Szwajcarii i do Włoch...”

Sherlock złośliwie przymrużył oczy:

— Cóż pani na to?

— Powiadam mu: „Jak to? Nie lubisz przecie podróży”. A on mi: „No, tak mi się wydawało. Jedziemy najpóźniej za dwa dni. Przygotuj się”. Powiadam: „Zlituj się. Nie zdążę. Mam dużo sprawunków dla mamy”.

— Cóż mąż na to?

— Mąż?... Powiada: „Ja ci pomogę”.

— W sprawunkach?

— Tak... Ludwiczek dla mamy bardzo uprzejmy... I na służącą za stratę listu gniewał się głównie dlatego, że przy listach mamy jest zwykle spis wszystkiego, co mamie potrzeba. A Ludwiczekowi chodzi mocno o to, aby mamie dogodzić. Nazajutrz wychodzimy na miasto. Zatrzymuję Ludwiczkę przed sklepem kapeluszy na Marszałkowskiej. Powiadam: „Wstąpimy, kupię kapelusz dla mamy...” Wstępujemy. Wybieram dla mamy kapelusz z pięknym, białym strusim piórem. Potem zagadałam się przy przymierzaniu nowych francuskich fasonów. Wtem widzę: ku wyjściu dąży jakaś dama w kapeluszu z czerwonym piórem... Widziałam, że jest młoda... Mignęła mi filuterna twarzyczka z pięknymi niebieskimi oczyma. Mój mąż, wskazując palcem ową damę, nachylił się ku sklepowej i coś szepcze... Widzę to w lustrze... Widzę, że panna sklepową uśmiecha się... On też — i szepcą. Zmartwiałam. Mama mówiła mi nieraz, że wszyscy mężczyźni są zdrajcy.

<sup>15</sup>*szwajcar* (daw.) — odzwierny, człowiek pełniący służbę przy wejściu do budynku. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*kiele* (gw.) — koło, obok. [przypis edytorski]

Ale co do Ludwiczka... byłam pewna, że on nie... Wypadłam na ulicę... Ludwiczek za mną. Ledwie miał czas zapłacić rachunek... Spostrzegł moje zmieszanie. „Co ci się stało?” Powiadam: „Nic”. — „Zbladłaś strasznie”. Pytam: „Kto była ta dama?” — „Jaka dama?” — odpowiada, jakby nic nie wiedział. — „Ta, co wyszła”. — „Wychodzących było wiele”. — „Ta z czerwonym piórem na kapeluszu!” — „Stare pudło!...” Kłamał wyraźnie. „Aha, stare pudło... O czym żeś szeptał ze sklepową?” — „Ja?” — „Oczywiście, że nie ja”. Zmieszał się, splątał. Robię mu scenę. Skręciłam umyślnie w Świętokrzyską ku Zielnej, gdzie są sami Żydzi. Powiadam mu: „Masz stosunki z tą panną w magazynie<sup>17</sup>... miałeś stosunki z tą damą z czerwonym piórem...” Przez całą Pańską idzie przy mnie, a zaklina się, że żadnych stosunków z nikim nie ma i nigdy nie miał. „Coś szeptał?” — „Ależ nic”. — „Ta panna śmiała się”. — „Śmiała się z gustu tej pani”. — „A ty?” — „Ja też”. — „Mówiłeś coś”. — „Pytałem, czy nie ma piór jeszcze czerwieńszych”. — „Tylko tyle?” — „Mówiłem, że strusie pióra są drogie”. Rozpląkałam się na ulicy. „Dla mamy... to za drogie!” Zarumienił się. Przyszliśmy wreszcie do domu... Ją<sup>18</sup> przysięgać...

— Jeżeli pani krócej możesz opowiadać, to proszę — rzekł uprzejmie Holmes. — Ale jeżeli pani uważa, że to wszystko jest potrzebne, słucham cierpliwie.

— Wszystko to potrzebne — rzekła pani Klotylda, czyniąc nieco dziwaczny ruch, jakby kilkakrotnie gładziła muftkę<sup>19</sup>, której w rękę nie miała, raz po raz mrużąc oczy. — Ale jeżeli pan sądzi, że może krócej...

— O, nie krępuję pani. Jestem cierpliwy. Lecz jeżeli pani może się streszczać...

— Słowem... po trzech godzinach... mężowi udało się udobruchać mnie. Chociaż... już w tej historii pozostało dla mnie coś tajemniczego! Ale jak Ludwiczek ją malować naszą przyszlą podróż, pokazywać mi drogę naszą na mapie, a przy każdym punkcie oznaczającym miasto, w którym zatrzymamy się, całować mnie, a przy każdym podkreśleniu w Baedekerze<sup>20</sup> ołówkiem hotelu, który obieraliśmy na postój, całować mnie dwukrotnie — tu pani Klotylda zapłonila się rozkosznie — takem zmiękla i wybaczyła mu wszystkie przypuszczalne błędy przeszłości. Tylko już na przyszłość żądałam... No, panowie rozumieją... Przysięgł wierność do grobowej deski. Pisząc nazajutrz pod nieobecność Ludwiczka list do mamy, nie wspomniałam nawet o tym nieporozumieniu. Mama zaniepokoiłaby się mocno.

Holmes pokiwał głową:

— A uspokoiła pani obawy mamy... co do uczuć męża?

— O, opisałam mamie, jak Ludwiczek wybierał ze mną miasta na mapie i hotele w Baedekerze... ile razy mnie pocałował. Ja mamie wszystko piszę. Ludwiczek nawet sądzi, że jestem zbyt drobiazgową... i mogłabym mniej pisać...

— Cóż dalej?

— Teraz niech pan uważa... Bo to, co teraz, to najważniejsze... Następują fakty dziwne, niezrozumiałe... Zaraz pan zrozumie, czemu mówiłam o owej pani z czerwonym piórem na kapeluszu... Przyjeżdżamy do Bazylei. Stanęliśmy w hotelu „Pod trzema królami”. Zwiedziliśmy muzeum... klasztor... galerie. Wracamy do hotelu. W przedsionku przystępuje do mojego męża szwajcar i powiada: „Była tu jedna pani... pytała o pana...” — „Jaka pani?” — „Z czerwonym piórem na kapeluszu”. Mąż mój poblądł... szwajcarowi dalej mówić nie dał... pociągnął mnie na górę. „Pakujemy się” — woła. Oczy mu się iskrzą... twarz płonie... Widzę, że ma napad... Więc już milczę... nie opieram się... sceny mu nie robię... Wsiadamy do wagonu... Dopiero odzyskał humor... Pytam: „Co było?” Wziął mnie za rękę i rzekł pieszczotliwie: „Kłociu, jeżeli mnie choć trochę kochasz, ufaj mi... Wiesz, że tylko o naszym szczęściu myślę...” — „A ta dama?” — „Kłociu! Nie pytaj. To straszliwa tajemnica... Kiedyś, da Bóg, wyjaśnię ci, zrozumiesz mnie!” Przyjeżdżamy do Berna. Stajemy w hotelu „Jura”, obranym wedle wskazania Baedekera. Wychodzimy na

<sup>17</sup>magazyn — tu: magazyn mód, duży sklep handlujący tkaninami, modnymi strojami, galanterią. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>jąć (daw.) — zacząć; zabrać się do czegoś. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>muftka — futro zszyte w rulon, które chroni dłonie przed zimnem. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>Baedeker — renomowane wydawnictwo niem., założone przez Karla Baedekera (1801–1859), które jako pierwsze oferowało nowoczesne przewodniki turystyczne; jako rzeczownik pospolity: przewodnik turystyczny. [przypis edytorski]

miasto. Podziwiamy z daleka Alpy... jesteśmy w nowym i starym parlamencie... Podobają się nam. Zamierzamy jeszcze jeden dzień pozostać... Lecz w hotelu...

— Szwajcar donosi — uśmiechając się, kończył Holmes — że dama z czerwonym piórem...

— Tak jest! — wykrzyknęła pani Klotylda, znowu czyniąc swój zagadkowy ruch, jakby głaskała coś leżącego na kolanach. Tak jest! „*Die Dame mit rothem Feder am Hut...*”<sup>21</sup> przychodziła, pytała...

— I znowu atak... ucieczka... przysięgi w drodze...

Pani Klotylda przymrużyła oczy, uśmiechnęła się półsmętnie i przytaknęła.

— Przyjeżdżamy do Interlaken<sup>22</sup>... stajemy w hotelu „Centrale” nad cudnym jeziorem Thun.

— Nie obejrzelście miejsca, jak należy?...

— Nie mogliśmy... Była dama z czerwonym piórem na kapeluszu... i musieliśmy uciekać...

— I to tak trwało?

— Miesiąc cały... W Lucernie, Zurychu, Genewie, Florencji, Wenecji, Rzymie... wszędzie... wszędzie... zjawiała się dama z czerwonym piórem...

Tu pani Klotylda zalała się łzami. Podał jej szklankę wody. Połykając łyżę, mówiła z oburzeniem:

— Ta dama zepsuła mi całą podróż!... Nic nie widziałam!... Nic!... Nic!... Takie koszty na nic... Mieliśmy we wszystkich hotelach wcześniej zamówione pokoje... Trzeba było przepłacać... bośmy nie dosiadywali... Okropność!...

Sherlock Holmes posępnie pokiwał głową. Dawno nie widziałem go tak głęboko wzruszonym. Opowieść ładnej blondynki robiła na nim wielkie wrażenie.

Pani Klotylda ciągnęła:

— Zdenerwowałam się... Ludwiczek to widział... czuł, że potrzebuję spokoju, wytchnienia... Zaproponował mi, żebyśmy już zaniechali jazdy do Paryża — zapomniałam już panu powiedzieć, że w projekcie była jeszcze podróż do Paryża... — i doradził powrót przez Kraków. „Posiedzimy tydzień u mamy, to odpoczniesz i obojgu będzie nam dobrze”. Skoczyłam mu na szyję... To było tak miłe z jego strony. Wiedział, jak tęsknię za kochaną mamą. Od chwili wyjazdu nie dostałam ani jednego listu, choć co dzień słałam karty z widokami. Ale przy tej bieganinie po Szwajcarii i po Włoszech listy mamine dogonić mnie nie mogły...

Holmes zmarszczył czoło. Słuchał z natężeniem.

— I cóż w Krakowie? — zapytał.

— Niestety!... Nie zastaliśmy mamy... Drzwi zamknięte. Służące odprawione. Stróż nie wie nic. Tylko tyle, że pani wyjechała. Dokąd? Do Warszawy? „Nie mówiła”. Od tych ciemnych ludzi niczego dowiedzieć się nie można. W Krakowie w hotelu przesiedzieliśmy tydzień, czekając na mamę.

— Dama w kapeluszu z czerwonym piórem nie wypędziła was? — z lekką żartobliwością w głosie spytał Holmes.

— Nie... Owszem, spędziliśmy nawet czas bardzo przyjemnie... co dzień byliśmy w teatrze...

— Mąż nie miał ataków?

— Tylko pierwszego dnia... Wieczorem, w hotelu... Miał dziwny atak... Nasamprzód gniewał się ze mną razem, że ci ciemni ludzie — niby stróż i stróżka — nie umieli powiedzieć, dokąd mama wyjechała... potem zaniepokoił się, że mama może siedzi w Warszawie i na nas czeka, i wysłał zaraz na moją prośbę depeszę... potem zaczął śmiać się. Ponieważ żadną miarą nie chciał iść do doktora, a na pytanie, co mu jest, odpowiadał: „Tajemnica” — zaniepokojona, wówczas właśnie zatelegrafowałam do pana...

— Cóż jeszcze?

— Nic... Mamy nie doczekaliśmy się... Z Warszawy przyszła depesza, że mamy tam nie ma... Wróciliśmy i mamy nie ma...

<sup>21</sup>*Die Dame mit rothem Feder am Hut...* (niem.) — dama z czerwonym piórem na kapeluszu. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*Interlaken* — miejscowość w Szwajcarii, w kantonie Berno, pomiędzy jeziorami Thunersee oraz Brienzensee; popularny ośrodek turystyczny. [przypis edytorski]

— A gdzie może być?...

Pani Klotylda rozplakała się:

— Mama pewnie jest na wsi u którejś ciotki mojej... Ale u której, nie wiem...

— Dużo pani ciotki ma?

— Siedem... Ludwiczek telegrafował do trzech... Do czterech pozostałych nie mógł. Nie mamy bliższego adresu... Po wsiach mieszkają...

I pani Klotylda jęła płakać jeszcze rzewniej.

Holmes ruchem ojcowskim wziął ją za rękę:

— Niech pani nie płacze... Mama się znajdzie...

— To wiem — mówiła, szlochając. — Ale... ale... mnie boli jeszcze co innego... Według naszego planu... mieliśmy dziś właśnie nocować w Paryżu... w hotelu „Regina”... Tak się na to cieszyłam... A patrz pan... i mamy nie ma... i mąż jest chory... i ta jakaś tajemnicza kobieta spokoju nie daje... i... i... i... ja sama jestem nerwowo rozstrojona...

Tu zaczęła beładnie opowiadać. Okazało się, że mąż jej znowu znajduje się w stanie dziwnego rozprężenia nerwów, że ten stan udzielił się i pani Klotyldzie, że pan Ludwik jak gdyby czegoś wyczekuje, czegoś boi się, że obecnie zaproponował żonie wyjazd do Berlina pół dla rozrywki, pół w interesach, które miał tam załatwić...

— A pani?

— A ja boję się jechać... Znowu ta dama...

Sherlock Holmes uśmiechnął się.

— Kiedy państwo macie jechać?

— Mąż chce jutro...

— W jakim hotelu państwo zamierzacie stanąć?

— Mąż mówił, że w „Monopolu”.

— Niech pani jedzie! — rzekł z mocą Holmes, powstając i kładąc dłoń na ręce pani Klotyldy z gestem uspakajającym.

— A ta... dama?... — rzekła pani Klotylda, patrząc nań wystraszonymi oczyma.

— Niech pani się niczego nie obawia... Tajemnicę tę przyrzekam odkryć... i ręczę pani, że... wszystko będzie dobrze!

Tyle pewności było w jego głosie, że twarz pani Klotyldy rozpozodziła się uśmiechem. On pochylił się nad nią poufnie i rzekł:

— Teraz proszę zapamiętać, co powiem... i zrobić to, co polecę...

— Słucham.

— Wyjeżdżają państwo jutro, tak?... Zatem będziecie państwo w Berlinie... — zamyslił się, jak gdyby coś obliczał — ...tak, w piątek rano... Otóż wieczorem w piątek pod wszelkimi pozorami postara się pani zatrzymać męża w hotelu... żeby nie uciekł. — Tu Holmes uśmiechnął się. — Zawczasu rozkaże pani szwajcarowi, żeby pokój wasz zamknął... Rozumie pani?

— Rozumiem.

— Klucze poleci mu pani przywieźć na dworzec centralny... Karetkę<sup>23</sup> hotelową odnajdę i klucze odbiorę. Powiesz pani, że zapytam stangreta „Monopolu” o klucze „od zamkniętych”. To będzie znak umówiony. Pamiętasz pani?

— Pamiętam.

— A teraz jeszcze pytanie. Pani lubi pieski?

— Małe... tak... Ale Ludwiczek nie lubi. — Przymrużyła oczy.

— Przepraszam, jeszcze pytanie. Czy ojciec pani był krótkowidzem?

— Ojciec?... Nie...

— Dziękuję pani... Wiem wszystko, co mi potrzeba. Może pani odejść w spokoju. Tajemnicę „damy z czerwonym piórem” rozwiążę...

— Panie!... Będę panu wdzięczną do grobu... Pan rozumie... że tutaj waży się kwestia całej mojej przyszłości... Muszę wiedzieć, co ciąży na sumieniu tego człowieka... czy mogę z nim żyć... czy raczej mam wracać do mamy...

Batystową chustką ocierając łzy, pożegnała nas szybko i wyszła.

\*

<sup>23</sup>karetka (daw.) — kryty pojazd konny, zwykle specjalnego przeznaczenia. [przypis edytorski]



Przez chwilę trwało milczenie. Holmes przerwał je pierwszy.

— Pojedziesz ze mną do telegrafu?

— Telegrafujesz w tej sprawie?...

— Tak.

— Do kogo?

— Pozwól, że powiem ci dopiero później.

— Jesteś pewny swego?...

— Mam pewne kombinacje...

— Mogą zawieść...

— Mogą. Ale... nie zawiodą. Przynajmniej mam nadzieję.

— Więc telegrafujesz... I co więcej?...

— Wyjeżdżam do Berlina. Pojedziesz ze mną.

— Jak najchętniej.

— A zatem przygotuj się... Jedziemy choćby zaraz... Zatelegrafuję na dworcu.

W pół godziny potem byliśmy na dworcu warszawsko-wiedeńskiej<sup>24</sup> kolei. Sherlock oddał depezę. Wyznaję, że byłem mocno zaintrygowany. Mój przyjaciel dostrzegł to i uśmiechając się, rzekł, kiedyśmy już siedzieli w wagonie:

— Aby nieco zaspokoić twoją ciekawość, powiem ci, że telegrafowałem do Paryża, do hotelu „Regina”.

— Ale do kogo?

— Do damy z czerwonym piórem na kapeluszu.

— A!... Znasz jej nazwisko?

— Domyślam się...

Pociąg ruszył właśnie... Holmes owinął się pledem. Wiedziałem, że tymczasem nic więcej nie powie. Po chwili usłyszałem jego chrapanie. Co do mnie, zasnąć nie mogłem. Gubiłem się w domysłach. Jak on znajdzie ową damę z czerwonym piórem na kapeluszu?... Cała opowieść Klotyldy wydawała mi się czymś bez związku, bez sensu. Ten list... ta podróż... ta dama... ten szereg ucieczek... Nic się nie kleiło. Im dłużej rozmyślałem, tym grubszą, bardziej nieprzejrzaną wydawała mi się zasłona tajemnicy. A Holmes spał, pewny swoich „kombinacji”. Dziwny człowiek!...

W kilka dni potem, piątkowego wieczoru, chodziliśmy po dworcu centralnym w Berlinie, oczekując ekspresu z Paryża. Holmes nerwowo zaciskał w ręce żelazny klucz. Czulem, że jest niespokojny. Usłyszeliśmy świst pociągu.

— Przyjedzie czy nie przyjedzie? — rzucił przez zęby Holmes. W głosie jego czuło było drżenie niezwykle. Widać, że obawiał się, iż kombinacje mogą być zawodne.

— Kto taki? — zapytałem.

— Dama... z czerwonym piórem na kapeluszu... z małym pinczerkiem na ręku... i z binoklami<sup>25</sup> na nosie... O, o! Uważaj teraz dobrze.

Pociąg nadbiegł. W mgnieniu oka rozwarły się drzwi wagonów. Obaj wyteżyliśmy oczy. Nagle Holmes krzyknął i poskoczył naprzód.

Spojrzałem — i dreszcz zdumienia przeszedł mi po nerwach.

Naprzeciw nam szła dama okazałej tuszy. Na kapeluszu miała jaskrawoczerwone pióra. Na ręku niosła otulonego w płaszczyk pinczerka. Na nosie miała binokle.

Nim ochłonąłem ze wzruszenia, już Holmes zdążył rozmówić się z ową damą, otrzymać od niej kwit na rzeczy<sup>26</sup>, przywołać posługacza, dać szereg rozporządzeń, doręczyć mi kilka pudełeczek przyjezdnej, kilka wziąć pod swoją pieczę i polecić mi, abym o nic nie pytał tymczasem, a szedł ku omnibusowi<sup>27</sup> hotelowemu.

Palila mnie ciekawość. Ale nie mogłem jej zaraz zaspokoić. W omnibusie jak na złość zbrakło miejsca dla mnie. Wszystkie były wcześniej zamówione, prócz dwóch, które zajęli Holmes i nowo przybyła. Poszedłem za karetką.

<sup>24</sup>kolej warszawsko-wiedeńska — linia kolejowa łącząca Warszawę z granicą zaboru austriackiego (Galicja). [przypis edytorski]

<sup>25</sup>binokle — rodzaj okularów bez uchwyty, mocowanych na nosie z pomocą sprężynki. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>kwit na rzeczy — tu: pokwitowanie na bagaż, przekazany przez pasażera pod opiekę przewoźnika. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>omnibus (łac. dosł.: dla wszystkich) — duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, pod koniec XIX w. powszechny jako środek regularnej komunikacji w dużych miastach Europy; poprzednik autobusów. [przypis edytorski]

Spotkaliśmy się na podjeździe „Monopolu”.

— Kto ona? — szepnąłem do Holmesa.

— Zaraz się dowiesz!

Winda uniosła nas na trzecie piętro. We troje podeszliśmy do drzwi numeru 44. Holmes ze złośliwym uśmiechem otworzył drzwi i grzecznie usunął się na stronę, puszczając przodem okazałą damę w kapeluszu z czerwonym piórem.

I nie zdążyłem jeszcze przestąpić progu, kiedy usłyszałem dzwięcny okrzyk:

— Mama!

Za chwilę byłem widzem czulej sceny. Pani Klotylda obejmowała matkę i płakała z radości. Ludwiczek, nieco błądzący z radosnego wzruszenia, całował rączki teściowej. Holmes ostrożnie obwijał w pled pinczerka. A pani Grzmotnicka, sapiąc, mówiła: „Kochane dzieci, jak ja was szukałam!... Jak ja was szukałam!... Panie Holmes, niech no pan tylko ostrożnie dotyka Filusia, bo bardzo nerwowo”.

Zjedliśmy kolację w głównej sali hotelu w sześcioro (licząc w tym Filusia). Przy kolacji piliśmy dwadzieścia razy zdrowie genialnego Holmesa. Pani Klotylda, jej matka i Ludwiczek ściskali mu ręce przy każdym kieliszku. Pani Grzmotnicka przebrała nawet nieco miarę (trąbiła alasz<sup>28</sup> kapitalnie) albo też była zmęczoną mocno po podróży: dość, że wcześniej udała się na spoczynek i zarządziła, aby Ludwiczek z Klotyldą też poszli na spoczynek, bo „zdrowia marnować nie należy w młodym wieku”.

Kiedyśmy zostali we dwóch, dostrzegłem, że Holmes jest jakiś kwaśny.

— Co ci jest? Czy nie jesteś zadowolony ze swego tryumfu?

— Owszem... ale ręka mnie boli... patrz, mam siniaki...

Pokazał mi rękę. Przeląknęłam się.

— Co ci jest?...

— To pan Ludwik tak mocno mi dziękował... za odzyskanie teściowej.

Wyznaję, że parsnąłem śmiechem, choć mi żal było Holmesa serdecznie. Przeszło pięć minut trząsał mnie taki śmiech, że Holmes, z początku chmurny i zły na mnie, zapomniał o bólu, dał się porwać i śmiał się ze mną razem.

Kazaliśmy podać szampana i teraz Holmes musiał mi odpowiedzieć na cały szereg pytań, ściągających<sup>29</sup> się do jego tryumfu.

— Jak zgadłeś, że to teściowa, a nie kochanka?

— Kochanka nie miałaby tyle cierpliwości. Tylko teściowa może tak prześladować zięcia po całej Europie!

— Każda?

— Nie!... Matka jedynaczki...

— W jaki sposób postawiłeś diagnozę choroby pana Ludwika?

— Ba, to nie tak trudno było... Choroba rozpoczęła się w dniu, kiedy teściowa zaproponowała swoje towarzystwo młodej parze w podróży poślubnej. Wtedy nastąpił pierwszy atak.

— A, prawda!

— I człowiek, który planował podróż poślubną do Włoch i Szwajcarii, znenawidził nagle oba te kraje.

— List nie wprowadził cię w błąd?

— Nie, odgadłem, że Wikcia prawdę mówiła. Pan Ludwik sam zniszczył list... dlatego sumienie go ruszyło i służącą starał się udobruchać. Skłamał z konieczności przed żoną.

— Cóż było w liście?

— Nie domyślasz się?

— Nie!

— Teściowa obiecała przyjechać.

— Skąd to wiesz?

— Ba, z tego, że pan Ludwik nagle znowu pokochał Włochy i Szwajcarię i postanowił uciekać z żoną z Warszawy.

— Tak, to prawda! Jakże to wszystko proste! — rzekłem, uderzając się w czoło. — Ale... ale... co to była za dama w magazynie kapeluszy... ta z czerwonym piórem?

<sup>28</sup>alasz — słodki, klarowny likier kminkowy o zawartości alkoholu ok. 40%. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>ścigać się do czegoś (daw.) — dotyczyć czegoś, odnosić się do czegoś. [przypis edytorski]

— Tu pan Ludwik niesłusznie był podejrzany przez żonę. Powiedział prawdę. Śmiał się z niej z panną sklepową, bo mu się jej pióro „okropnie” podobało. I zapytywał istotnie: „Czy nie ma czerwierszych?”

— Po co te szepty ze sklepową?

— Mój drogi, kiedy żona wybiera dla mamy najpiękniejsze i najdroższe pióra strusie, a mąż, posławszy teściowej mnogość prezentów, zamierza raz jeden urządzić psikusa... i zmienia rozporządzenie żony, a zaleca zamianę białego pióra na czerwone, myśląc sobie: „Dla starego Grzmota to będzie w sam raz”, to... z konieczności szeptać będzie. A przyłapany na śmiechu i na szeptaniu, z konieczności zmiesza się...

— Tak... tak... to prawda... O co to jeszcze zapytać chciałem?

— Chyba nie o to, czemu pan Ludwik tak uciekał przed teściową?

— O nie!... Miły jej wpływ na Kłocię z opowiadania córki ocenić mogłem. Ale skądże baba wiedziała, gdzie każdej chwili obraca się zięć i córka?

— Jakże? Nie odgadłeś, że córeczka mamie wysłała plan podróży... i wskazała wszystkie hotele... z datami... na wypadek, „gdyby kochana mama chciała przyjechać”.

Zawstydzilem się. To było tak proste. Biedna Klocia! Wyobrażała sobie, jak mama jej ładnie prezentować się będzie w kapeluszu z białym piórem... i uciekała przed damą z czerwonym...

— Stąd zapewne zgadłeś, że pani Grzmotnicka będzie w hotelu „Regina” w Paryżu w oznaczonym dniu... I z taką pewnością wysłałeś depezę na jej nazwisko?

Holmes uśmiechnął się, dumny ze swego tryumfu.

— Wiesz, co mi posłużyło za najpewniejszą wskazówkę, gdym kombinowałem, kim mogła być owa dama?

— Nie domyślałem się.

— Pośpiech Ludwika, gdy zamiast do Paryża jechał z żoną do Krakowa... do mamy!

— A!...

Kilka chwil śmieliśmy się serdecznie, przypominając sobie ów „dziwny” atak Ludwika w Krakowie, kiedy to nie wiadomo było, czy się śmieje, czy płacze.

Nagle uderzyłem się w czoło.

— Ach, zapomniałem ci zadać dwa najważniejsze pytania.

— Jakże to?

— Jakim sposobem odgadłeś, że pani Grzmotnicka nosi binokle?

— O, to proste! Pani Klotylda mruży oczy, jak osoby krótkowzroczne, choć uważałem, że sama nie jest krótkowzroczną; kiedy splakana prosiła cię o szklankę wody, wskazała karafkę, stojącą bardzo daleko na kredensie. Stąd wniosek, że owo mrużenie oczu jest tylko przyzwyczajeniem, nabytym po krótkowidzących rodzicach, ojcu i matce... Powiedziała, że ojciec nie miał krótkiego wzroku. *Ergo*<sup>30</sup>: matka...

— Ale mógł być krótkowidzem dziadek... albo babka...

Holmes zmarszczył się.

— Ba, to mogło być... Ale tu instynkt powiedział mi, że... matka. Dawni ludzie zazwyczaj mieli dobre oczy...

— A pinczerek na ręku...

— Widziałaś, jak Klotylda gładzi coś niewidzialnego na kolanach?

— Więc to też przyzwyczajenie?

— Tak!

— Ależ mogła mieć pieska w domu?

— Powiadała, że mąż nie lubi psów... Odgadłem, że pinczerek został u matki!... To proste!

W tej chwili wydawał mi się genialny... Tym genialniejszy, że sam nie podejrzewał swojego geniuszu, skromny jak „dziecię, co nie wie o swojej piękności”<sup>31</sup>.

On rozumiał, że go podziwiam, i cicho a znacząco wyrzekł:

— Nie robię żadnych niemożliwości. Przekonasz się sam, że przed istotną trudnością zawsze pasować muszę... Ba, oto zaraz przekonasz się o tym — dodał, spojrzawszy na prawo ku drzwiom wejściowym salonu, i wzdrygnął się cały.

<sup>30</sup>*ergo* (łac.) — więc; spójnik używany tradycyjnie przy budowaniu dowodu logicznego. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*dziecię, co nie wie o swojej piękności* — parafraza sformułowania z wiersza Zygmunta Krasińskiego *Modlitwa za dzieci*. [przypis edytorski]

Do naszego stołu zmierzał pan Ludwik. Był blady. Wargi mu drżały. Podeszedł, odsunął krzesło i raczej upadł na nie, niż siadł.

— Panie Holmes... Mam do pana prośbę.

— Słucham pana.

— Moja teściowa i moja żona śpią... razem. Wykradłem się, bo mam do pana prośbę — powtórzył z przyciskiem.

— Słucham pana — powtórzył Holmes. — Prócz jednej rzeczy wszystko będę mógł uczynić dla pana. A boję się, że... o tę jedną rzecz chcesz pan prosić.

— Moja teściowa chce z nami jechać do Warszawy i przy nas zamieszkać...

— Domyślałem się tego.

— Moja teściowa przyrzeka nie opuścić nas i proponuje obecnie wspólną podróż po Europie...

— Domyślałem się tego.

— Dziękuję panu — syknął pan Ludwik przez zęby. — Dziękuję panu za tę miłą scenę, którą miałem dopiero co na górze, kiedy indagowano mnie co do czerwonego pióra i kombinowano, skąd pochodziły moje ataki w hotelach Szwajcarii i Włoch. Dziękuję panu.

— Ale o co pan mnie prosisz?

— Do diabła! O to, abyś pan tak urządził — pamiętaj pan, że żadnych kosztów żałować nie będę — żeby... żeby... ten stary grzmot sam pojechał do Krakowa.

Holmes zwiesił głowę rozpaczliwie, ręce opuścił bezwładnie i rzekł głucho:

— To... właśnie jest to jedno... czego nie mogę.

Pan Ludwik pięścią huknął w stół, aż talerze zabrzękły i ludzie przy sąsiednich stołach ciekawie zwrócili na nas oczy.

— Tfy! — splunął. — I ten człowiek uchodzi za geniusza!...

A obrzuciwszy go pogardliwym spojrzeniem, jeszcze raz splunął, odwrócił się i wyszedł.

Sherlock Holmes siedział nieruchomy i blady śmiertelnie.

Nigdy jeszcze nie widziałem takiej bladości na jego obliczu.

— Widzisz — wyrecytował — że jestem tylko zwyczajnym człowiekiem...

Na ramię lewego oka zakręciła mu się łza, którą dyskretnie otarł rękawem.

Wielki człowiek wstydził się swojej ludzkiej słabości.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/belmont-sherlock-holmes-warszawie/>

Tekst opracowany na podstawie: Leo Belmont, *Sherlock Holmes w Warszawie*, Dodatek tygodnika „Wolne słowo”, wyd. Kaniewski i Wacławowicz, Warszawa 1908.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury ([www.wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl)).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-7560-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).